

Wacław Lica

JA I MÓJ TATA

Spośród różnych wad i przywar ludzkich szczególnie brzydka cechą charakteru jest zarozumiałość i chęć zwrócenia na siebie uwagi za wszelką cenę. Jest to szczególnie przykre w kontaktach służbowych, chcielibyśmy w życiu prywatnym nastroić nie mało kłopotów i zadrążeń.

Nie będziemy dalecy od prawdy określając takiego osobnika jako źle wychowanego. Na kształtowanie się charakteru człowieka pewien niewątpliwie wpływ mają dyspozycje wrodzone, główną i decydującą jednak rolę odgrywa wychowanie. Jeżeli dzisiaj pan Iksiński jest trudnym do współżycia pyszałkiem, to przede wszystkim dlatego, że takim ukształtował go środowisko, w którym przebywał, z którego czerpał wzory do naśladowania, które wreszcie akceptowało jego zarysowujący się niepoprawny stosunek do domowników, kolegów, społeczeństwa. Na poparcie tego twierdzenia niech mi będzie wolno posłużyć się przykładem.

Kilka lat temu, w okresie letnich kolonii, pełniłem obowiązki wychowawcy kolonii letniej. W powierzonych mi grupie kolonijnej szczególną uwagę zwracał na siebie 13-letni Józio, syn dyrektora instytucji organizującej kolonie. Już w pierwszym dniu nie upoważniony przez nikogo, „rozstawiał po ławkach” wszystkich kolegów, sam siebie tytułując seniorem grupy, dawał wszystkim niedowzmacznione do zrozumienia, że władza ta jest mu przynależna z tytułu dyrektorskiego stanowiska jego ojca. Trzeba było przyspieszyć wybory władz samorządowych grupy kolonijnej. Wieksość chłopców nie uległa czarowi wielkości dyrektorskiego syna, prawdopodobnie zraził sobie kolegów próbą dyktatorskiego przejścia władzy, w wyniku czego Józio nie został członkiem samorządu.

Kilka dni Józio chodził nadęty, rychło jednak wciągnął go żywy rytm życia kolonijnego. Zdawało mi się, że chłopiec nad swą kłeską wyborczą przeszedł do porządku dziennego, wzbogacony o nowe doświadczenia życiowe.

Minał tydzień. Był piękny lipcowy wieczór. Kolonia układała się do snu. Nagle alarm. Nie ma Józia. Co z Józkiem? Był przecież na kolacji i wieczornym apelu. Cała kolonia postawiona na nogi. Po półgodzinnych poszukiwaniach zgruba się odnalazła. Wraca w towarzystwie kilku kolegów. Twarz jego promienieje radością, do żadnej winy się nie pozuwa. Po prostu nie jest przy-

W pięciolecie 1966-1970 problemy dorastającej młodzieży znajdują się w centrum uwagi opinii publicznej. Szkolnictwo, zatrudnienie, mieszkania dla młodych, sprawy młodzieży prowincjonalnej, młodzież „luźna” nie ucząca się i nie pracująca, kwestia kobieca — oto parę, pierwszych z brzegu niełatwych zagadnień, które w tych latach wypadnie rozwiązywać.

Problematyka wylotu demograficznego stała się jednym z ważniejszych wątków dyskusji przedzjazdowej i przedmiotem uchwał IV Zjazdu Partii. Niezależnie jednak od ogólnopolskich planów wykształcenia i zatrudnienia fali wylotu demograficznego istnieje wiele spraw, których nie da się centralnie rozstrzygnąć. Przede wszystkim dotyczy to szerokiego kręgu problemów związanych z podjęciem pierwszej pracy.

*

Roczniki wylotu demograficznego odznaczają się stosunkowo wysokim standardem wykształcenia. Spory procent tej młodzieży ukończył któryś z typów szkół średnich. Z reguły też wymagania tej młodzieży są i wyższe, i znacznie bardziej zróżnicowane niż np. młodzieży, która lat temu 10 zaczynała samodzielne życie. Dotyczy to zarówno spraw bytowych, jak i potrzeb kulturalnych. Niezależnie bowiem od pochodzenia, młodzież ta pozostaje pod wpływem dość jednolitego modelu kultury wielkomiejskiej, lansowanego przez radio, telewizję, masowe magazyny, ciążę ku wielkiemu miastu, jego formom życia, rozrywkę. Tymczasem znaczna część młodych trafiła właśnie do niewielkich miejscowości Polski prowincjonalnej, a ci, którzy osiedli w wielkich miastach również napotykają rzeczywistość różniącą się w znacznym stopniu od pielęgnowanego mitu. Jest to niejako pierwszy próg, często wcale niełatwy do sforsowania, obfitujący w liczne konflikty i wymagający od młodzieży sporych umiejętności dostosowania się. Jak ważną rolę odgrywa to pierwsze zetknięcie z nowym środowiskiem widać choćby z lektury licznych pamiętników, ankiet nadsyłanych przez młodzież na roz-

zwyczajony chodząc spać „z kurami”, więc przed snem poszedł do parku na spacer. Zrozumiałem, że wyraźnie bawi go to, że całą kolonię postawił na nogi, że to właśnie było celem jego eskapady. Chciał być ośrodkiem zainteresowania, bohaterem. I trzeba przyznać, że udało mu się to znakomicie. Kolonia długo nie mogła zasnąć, komentując wyczyn Józia.

Za kilka dni znowu alarm: Józio nie ma. Chłopcy widzieli jak w samej tylko piźminie wybiegł z umywalni do parku. Już zgłaszają się ochotnicy do poszukiwań. Poubierali się w ciepłe dresy, bo wieczór jest chłodny. Kierownik kolonii poprosił jednak wszystkich ochotników, by

Wszyscy jesteśmy wychowawcami

spokojnie położyli się spać, bo Józio sam wróci i to szybciej niż przypuszczają. Szkoda, byłaby znowu niezła zabawa. Ale trudno, rozkaz to rozkaz.

Tymczasem Józio czeka w parku dziesięć, piętnaście minut, a tu nic się nie dzieje. Niemożliwość jest, by nie spostrzeżono jego nieobecności. Jest mu coraz zimniej. Ej czy nie przyjemniej byłoby teraz w ciepłym łóżku? Nie wypada jednak wracać samemu, narazi się na kpiny kolegów. Ale to ich wina, widocznie nie zgłosili wychowawcy jego nieobecności. Cóż to za złośliwość, to on tutaj zbiegł a ci wylegają się w ciepłych łóżkach. Nie, naprawdę nie warto się poświęcać. Nie minęło 20 minut a nasz zziębnięty bohater postanawia wracać. Nie powtórzy się już triumfalny pochód sprzed kilku dni. Cichuteńko chyłkiem na paluszkach przemyka się do sypialni. Cała nadzieja w tym, że nikt nie spostrzeżi jego zniknięcia i nie dostrzeże powrotu. Wreszcie jest pod koldrą we własnym i jak przyjemnym łóżku, nikt go nie widział i nie słyszał, widocznie już wszyscy śpią. Ale to tylko złudzenie, bo nagle

spod koldry sasiada wydobywa się tłumione: hi hi hi. Pozostali koledzy, jak gdyby czekali tylko na ten sygnał, wybuchają salwą śmiechu. W ciszy nocnej wydaje się ona jednak tak potężna, że chłopcy sami wystraszeni, nagle milkną i znowu udają pogrążonych w głębokim śnie. Parę dni po tej przygodzie Józio wrócił do normy i już z pewnością nie zakłóciłoby jego równowagi duchowej, gdyby nie odwiedziły ojca.

Otóż kilka dni przed zakończeniem turnusu pan dyrektor przyjechał na lustrację placówki. Złe się stało, że nie delegował kogo innego do tej czynności. Józio powoli wciągał się w życie kolektywu, przyzwyczajał się do tego, że jest takim samym uczestnikiem kolonii jak każdy inny chłopiec, i że z radością pełnił przez jego ojca nie przysługującą mu żadne dodatkowe przywileje.

Wystarczył jednak dzień pobytu ojca na kolonii, by Józio był znowu synem dyrektora a nie kolonisty. Już nie obowiązywał go regulamin kolonijny, bo ojciec stęskniony za synem wymógł na kierowniku kolonii to, że Józio jadł, spał a nawet towarzyszył ojcu w jego czynnościach służbowych. Józio znowu był bohaterem.

Nawet nie bardzo byliśmy zaskoczeni, gdy po dwudniowym pobycie, pan dyrektor zakomunikował kierownikowi kolonii, że zabiera Józia do domu, ponieważ nie potrafiłszy zdobyć sobie zaufania synka. Czuję on się tutaj obco i jest szkanowany z tego powodu, że ojciec jest dyrektorem. Józio spakował swoją walizkę, kierowca odniósł ją do dyrektorskiego samochodu. Pojechali.

Dzisiaj Józio jest już panem Józefem, ukończył studia, zajmuje poważne stanowisko, ale ci którzy stają się z nim na co dzień twierdzą, że jest źle wychowany. Ja im wierzę i się nie dziwię.

W pewnym momencie naszej rozmowy Feliks Fornalczyk przytoczył fragment jednego z ostatnich wydanych dzieł Kubackiego pt. „Lata terminowania”. Fragment ten brzmiał tak: „Bieg życia krytyka wygląda całkiem pospolicie. Uczy się człowiek obcych języków, zachłannie poznaje arcydzieła literatury powszechnej i wypracowuje sobie podstawy krytycznej myśli, co się ogólnie nazywa kształceniem smaku estetycznego i zdobywaniem poglądu na świat. Trwa to wszystko bez nadziei długo, końca zdaje się nie widać tych mozołów, aż nagle pewnego dnia — ku własnemu zdumieniu i zgryzocie twórców staje się krytykiem”.

— Czy dla Pana również ów, wspomniany przez Kubackiego, moment był jakimś zaskoczeniem, czy też raczej przewidzianą konsekwencją obranej, jak się to mówi, drogi życiowej? Słowem: czy Pan chciał zostać krytykiem?

— Chyba tak. To znaczy ja już we wczesnej młodości bardzo poważnie

Bogdan Gołowski

Pierwsze kroki na ziemi...

maite konkursy itd. Przypominam te w końcu powszechnie znane rzeczy, gdyż sądzę, że adaptacja młodzieży powinna być procesem dwustronnym, gdzie dobrej woli młodych towarzyszyłyby odpowiednie wysiłki wszystkich władz i organizacji miejscowych. Chodzi po prostu o stworzenie warunków, które w pewnym przynajmniej stopniu ułatwią „aklimatyzację” młodzieży.

W tej dziedzinie wiele mogłoby pomóc organizacje młodzieży, dla których otwiera się szczególnie wdzięczne pole do działania. One bardziej, niż ktokolwiek inny, są predestynowane do orga-

PRZED ZJAZDEM ZMS

nizowania życia codziennego, pracy i rozrywki młodych ludzi. Jest to ważne nie tylko ze względu na dobro samej młodzieży. Pomyślny przebieg procesów adaptacyjnych ma ogromne znaczenie dla należytego wykorzystania młodej kadry, a tym samym dla rozwoju gospodarczego i społecznego kraju. Pierwsze samodzielne kroki i pierwsze zetknięcie z światem dorosłych są momentem kiedy następuje konfrontacja wszystkich wyobrażeń wyniesionych ze szkoły, domu, środowiska rówieśniczego — z konkretną rzeczywistością. Wynik tej konfrontacji przesądza często na lata o postawach młodzieży.

*

Jest jeszcze drugi próg adaptacyjny: zakład pracy. Tu zdarzają się konflikty jeszcze bardziej dramatyczne i jeszcze trudniejsze do rozładowa-

nia. Młody pracownik pełen zapału i dobrej woli, przegrywający z rutyniarstwem i konserwatywnym nowym środowiskiem pracy, świeżo upieczony technik czy absolwent wyższej uczelni, który zostaje zmuszony do rezygnacji z pozytywnych ambicji nowatorskich — to nie są bynajmniej banalne, wymyślone schematy. Często, niestety o wiele za często, tak właśnie wygląda pierwsze zetknięcie młodzieży z nowym miejscem pracy.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie chodzi mi wcale o to by Związek podejmował się wąsko pojętej „obrony interesów” młodzieży. Chodzi natomiast o angażowanie się organizacji w rzeczywiste konflikty wynikające ze zderzenia różnych postaw, różnych poziomów wykształcenia, obyczajowości.

Piszę o tych sprawach, gdyż za kilka dni rozpoczyna się Zjazd Związku Młodzieży Socjalistycznej. Zagadnienia związane z wylotem demograficznym zajmują w programie Zjazdu poważne miejsce. Sądzę jednak, że najpoważniejszą troską Zjazdu powinien stać się właśnie problem adaptacji młodzieży w życiu codziennym kraju i udział Związku w tych procesach. Nie są to rzeczy łatwe, ale zarazem rolą jaką Związek potrafi odegrać w organizowaniu startu młodzieży będzie miała decydujące znaczenie dla autorytetu organizacji i dla realizacji jej zadań ideowo-wychowawczych. W tej dziedzinie powinien powstać bardzo wszechstronny program działania. Program, którego celem byłoby łagodzenie konfliktów związanych ze startem młodzieży. Ale zarazem program, który stworzyłby warunki dla pełnego angażowania się Związku w obronę tych wartości, które wnoszą młode pokolenie.

Eugeniusz Pauksza

Fajerwerk

Jest to fragment powieści pt. „Przejaśnia się niebo”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Powieść składa się z dwóch części — „Zabite miasto” — akcja w roku 1945/6 i „Kwiaty na pogorzelu”, z lat 1962/3. Poniżej dokończenie fragmentu pochodzącego z części pierwszej. Początek zamieściliśmy w poprzednim Głosie Tygodnia z 6. XII. 1964.

Cholera, jakie to wrzaski stamtąd dochodzą. Bawi się polska hołota. Świętuje rocznicę wyzwolenia ich Polski. Czas leci. Jeszcze trochę, a patrzeć, będą świętować rocznicę przybycia do tego miasta. Czy on będzie tu jeszcze wtedy?

Nie ma co się ludzi. Trzeba być gotowym na wszystko. Jeżeli by co, wyrwać, ani się oglądając. Ten piękny Opel w szopie musiałby zostać, szkoda. Ale na szczęście jest motor. Gdyby co, prysnąć możliwie najdalej, potem maszynę w lasy, samemu przedzierać się w jakieś dalekie strony innymi już sposobami. Z sobą zabrać jak najmniej. Meble, graty, nie ważne. Tyle co na kark i tobolek z bielizną, a w niej to wszystko, co zdążył zagarnąć. Chwalić Boga, niemało tego. Byłoby z czym zaczynać od nowa. A może prysnąć przez granicę. Stuchy chodzą, że coraz jej mocniej pilnują. W razie wypadku mogłoby być zupełnie krucho. Zresztą, Niemcy, ani tam był kiedy, ani co widział. Tutaj kraj znajomy, ludzie też, wiadomo, jak z Polakami radzić... Na to obmyślenie, co dalej, będzie czas potem. Bo może to strach jedynie o wielkich oczach, wszystko rozwieje się, rozplynie, tyle, że pozostanie nauczka na przyszłość. Jeszcze bardziej się zmienić na zewnątrz, okulary, może wąski na dodatek, chodząc zgarbionym, ech, dałoby się z tym radę. Szkoda, że wcześniej nie pomyślał, aby lepiej się zamaskować...

Tobolek znów wywędrował spod łóżka. Ale wyleciały też z niego wpechane w pierwszym impulsive szmaty; nie o takie pakowanie chodziło. Forsa, to i owo ze złota, dolary, to ważne. Reszta jedynie po to, aby przykryć te skarby. O tak, żeby wyglądało to wszystko możliwie nędznowo...

Sprawdzał teraz działanie motoru, stan benzyny. Skoro zaczął już działać, zdenerwowanie zmalało. Najgorszy jest brak decyzji. Wyprowadził motocykl, posapując, gorąco wciąż było mimo powiewów, zaciągnął go w las, zamaskował pod krzakami. Gdyby co, tylko tam dobiec, kopnąć pedał i jechać...

Z chwilą, gdy wszystko zostało przygotowane na każdą ewentualność, czas od nowa zaczął się dłużyć. Cicho było wokoło, tylko woda w upuście staczała się z jednostajnym szumem. Pomyślał, że o tej porze liny zaczyna podchodzić, w taki spokojny dzień na pewno ładnie by brały. Ech, i tych linów byłoby za mało... Ta świnia Marcinek nie wraca. Dobrze musi się bawić... Wyjrzał przez okno. Pusto, głucho. Tylko w nim się wszystko przewala, kotłuje.

Znów go pociągnęło do okna. Wtedy zobaczył tych dwóch ludzi, zbliżających się do młyna. Pchnięty niewyrozumowanym odruchem przebiegł na palcach do drzwi, zawarł je moc-

na zasuwa, przekreślił klucz w zamku, klucz zaraz wyjął, pakując go do kieszeni. Przysłonięty grubą zasłoną przy oknie, ślepił na drogę. Ci dwaj zbliżali się szybkimi krokami, coś musiało ich gonić. Rozmawiali ze sobą, głosów nie słyszał, widział tylko poruszające się usta w twarzach wciąż niewyraźnych z tej odległości. Poznał go. Poznał po ruchach, po chodzie, a teraz już i po twarzy. To tamten młynarz spod Krasnegostawu, ten, co go zabrało gestapo... A z nim ten drugi, wczorajszy. Zatem to nie był wyolbrzymiony strach, to była prawda. Zbliża się ostateczna rozgrywka.

Słyszał teraz ich głosy. — Nie ma co, piękny młyn. Jeżeli naprawdę Mittwoch się tu urządził, to, można powiedzieć, miał skurwysyn nosa...

— Utarlibyśmy, utarlibyśmy... Cholera, zamknięte wszystko, ani się u kogo wywiadywać. Szarpnęli za kłamkę. Czui, jak każde szarpnięcie głuchym bólem przetacza się mu po sercu, jest jakby uderzeniem zabijającym resztę nadziei. Mittwoch, znają nazwisko. Wiedzą. Ale nie są pewni, ciągle niepewni...

— Widziałeś, naprawdę widziałeś tę mordę, tego lucyfera?

— Brodę miał, ale podobieństwo od razu mnie uderzyło. Ja go raz czy dwa, Staszek, widziałem, ale pamiętam... Dobrze pamiętam. Choć wczoraj, tak to było niespodziewane, dla pewności zapytałem, czy on nie z lubelskiego. Mówi, że ze Lwowa. Może był i dał spokój, ani bym tobie wspominał, gdyby nie ten młodzik, co go pozdrowił jako młynarza... Ciekawe, facet od razu się na to odcodził, tylko śmigał nogami...

— To znaczy on. Że też tu nie ma ani żywego ducha, aby się czego wywiadywać...

— Chyba nie od niego samego. Stuchaj, Staszek, może głupio robię? A jeśli facet gdzieś się zaczął, rozpozna ciebie, gotów będzie chyba na wszystko. Może lupnąć do nas z jakiego karabinu zza okna?

Patrzył jak odchodzą, zaciskał pięści, wzdychał. Jak go dobrze wyczuli. Bo właśnie w chwili, gdy tak mówili o tym strzelaniu, zamarzył, aby im wsadzić kulę pod żebra, jednemu, drugiemu. Spokój tu, cicho, ciała można by schować, ani by kto wiedział... Tylko, że tym pistolecikiem, który ma schowany w stropie, niewiele poradzi. I huk byłby. W mieście teraz na strzały są wyczuleni, to nie to, co parę jeszcze tygodni temu. Huk by się poniosł, zaraz by się zlecieli tutaj jak kruki. Trzeba inaczej, żadnych głupstw, żadnych nierozważnych poczynków...

Stał w oknie, patrzył, patrzył jakoś dziwnie zachłannie, jakby utrwalał pragnął w pamięci malejące w odda-

Dokończenie na str. 2

Dokończenie na str. 2

Poznańscy pisarze



Dokończenie ze str. 1

dzieli Puzyra i Błoniński, metodologii — Flaszyn. To było ogromnie ważne uzupełnienie studiów, które dla poważnie myślących o swej — jak to Pani powiedziała — drodze życiowej, stanowiło po prostu i potrzebę i konieczność.

— Ale potem zdradził Pan w jakiś sposób te swoje spokojne, badawcze zainteresowania?

— Tak. Zmuszony koniecznością podjęcia pracy zawodowej zacząłem się za tym rozglądać i bardziej „usytuować” koledzy zarekomendowali mnie kierownictwu Rozgłośni Krakowskiej. Przyjęto mnie i zgodnie z nie najlepszą ówczesną praktyką przeszedłem normalną drogą redakcyjną od praktykanta do samodzielnego publicysty — m. in. i pod opieką kuczmą Jacka Stwory.

— Pamięta Pan pierwszy dziennikarski elaborat?

— Tak. Reportaż z krynickich uzdrowisk. Niedługo potem wysłał mnie do tworzącej się właśnie ekspozytury rozgłośni w Nowej Hucie. To była prawdziwa szkoła życia. Bardzo trudne warunki, codzienne wędrowki w błocie niemal po kolana, ale również pierwsze prawdziwe i niezapomniane satysfakcje. Tu się w całym tego słowa znaczeniu łapało życie na gorąco, stykało ze wspaniałymi ludźmi. Na-

szych niedzielnych, przedpołudniowych audycji pt. „Mówi Nowa Huta” nie zapomnę prędko.

— Słowem: zaczął Pan karierę dziennikarską...

— No tak... Zaawansowałem wkrótce na szefa tej ekspozytury. Potem przeniesiono mnie służbowo do Szczecina. I tu znowu trafiłem na moment ogromnie interesujący. Wszedłem bezpośrednio w wir spraw decydujących o kształtowaniu się oblicza miasta, ściślej — jego środowiska literackiego. W owym czasie ludzi mogących współuczestniczyć w tym tworzeniu nie było wielu. Wirpsza, Nina Rydzewska... Trzeba było niemało wysiłków organizatorskich, żeby tę całą brać przyciągnąć. Pewnie dlatego ogromnie sobie cenię ten okres. Tam się naprawdę widziało konkretne rezultaty swojej pracy, obserwowało się nie „robiony” zapal. No i znowu, jak w Nowej Hucie, ten — zawsze w pewien sposób wzruszający — moment narodzin. W tym wypadku środowiska literackiego, które dziś przecież ma w kraju coś do powiedzenia.

— A osiągnięcia bardziej osobiste, mniej ulotne?

— Z tego okresu pochodzi mój tomik szkiców literacko-socjologicznych, zatytułowany: „Znaki życia”, wydany w 1961 roku przez Wydawnictwo Poznańskie.

— Jesteśmy zatem wreszcie w naszym mieście. Od kiedy stał się Pan poznaniakiem?

— Znowu przeniesienie służbowe, także na stanowisko zastępcy naczelnego do „Tygodnika Zachodniego”. Po jego zlikwidowaniu — funkcja zastępcy redaktora naczelnego do spraw artystycznych w radio, dająca mi zresztą ogromną satysfakcję, bo ułatwiająca nielatwy chyba gdzie indziej wszechstronny kontakt z ludźmi, okazję do bezpośredniej współpracy ze wszystkimi środowiskami twórczymi poprzez redakcję: literacką, muzyczną, estradową, młodzieżową i dziecięcą. To daje jedyną w swoim rodzaju możliwość zetknięcia się z dorobkiem tych twórców, dyskusowania o ich pracy.

— To chyba nieco podobnie jak w teatrze. Mam na myśli Pana drugie

zajęcie — jako kierownika literackiego teatru gnieźnieńskiego.

— Widzi Pani, lubię zmieniać zakres doświadczeń i pasjonuje się praktyczną działalnością społeczną. Interesuje mnie współczesna dramaturgia, a kontakt z nią ułatwia ogromnie zetknięcie się z teatrem od strony kuchni, z jego warsztatem pracy m. in. w terenie, nie a poza tym całkiem nie odświętne znajomości z dramaturgami. Najciekawszym zadaniem krytyka nie jest przecież tyle tworzenie własnych publikacji, co niejako „pisanie” książek innych autorów tzn. jakiś pośredni wpływ na to, co powstaje w literaturze.

— Skoro już przy tym jesteśmy, nie mogę sobie odmówić zadośćuczynienia chęci poznania Pańskiego zdania o poznańskim środowisku literackim.

— Ja to odczuwam tak: nasze środowisko jest na pewno lepsze, niż się zwykło o nim mówić. Autorzy wydają książki, które rozchodzą się — i we wznowieniach i w zagranicznych edycjach, a każde środowisko powinno się przecież oceniać nie według tego, co się o nim mówi, lecz według tego co ono samo tworzy. W moim przekonaniu na wspomniane uprzedzenie mają raczej wpływ czynniki natury pozaliterackiej. Warto przecież pamiętać, że u nas uprawia się wszystkie gatunki literackie, a więc i prozę, i poezję, i dramaturgię, i publicystykę. Gorzej już natomiast w Poznaniu z możliwościami publikowania choćby tejsze publicystyki.

— Ostatnie pytanie: pańskie najbliższe zamierzenia — oczywiście twórcze?

— Nie lubię, podobnie jak inni, mówić o planach twórczych, ponieważ nie zawsze dają się one zrealizować. Np. w ostatnich latach wiele czasu poświęcałem przygotowaniu jakiejś ambitniejszej pozycji o charakterze własnej publicystycznej, dotyczącej spraw społeczno-politycznych minionych dwudziestolecia. Ale w praktyce może się okazać, że ta najbliższa moja pozycja drukowana będzie znowu zbiór krytyk literackich, zwłaszcza że nagromadziło się ich już sporo.

Rozmawiała: WANDA CHILA

Dokończenie ze str. 1

leniu sylwetki. A gdy już zupełnie zniknęły, odetchnął głęboko, przysiadł za stołem. Pierwsze pasemka mroku zaczęły pelzać po pomieszczeniu.

Myśl jego pracowała trzeźwo, z zimnym spokojem. Jest trochę czasu. Nim dojdą do miasta, nim trafią na komendę, nim przyjmą od nich zeznania, nim wreszcie wyruszy tutaj milicja, też pewnie większość u nich świętuje, upłynie sporo czasu. Przez ten czas będzie daleko. Jak dobrze, że wyprowadził motor już przedtem...

Wiedział, popłochu nie ma, ale trzeba już działać, nie można tak tkwić za stołem. A jednak siedział nadal, wsparty łokciami o jasny, dębowy blat. Musi uciekać, zostawić to wszystko, młyn, w którym powrócił do życia włożył tyle wysiłku i starania. Sądził naiwny, że tutaj już przebiedzie do końca życia. Ba, jak młodzi, o żeniace zamyślał. Wczoraj miał żal, że nie obrano go radnym... A teraz łobuz, który cudem jakimś wyrwać się musiał z gestapo, zatriumfuje, może nawet obejmie ten młyn, będzie prowadził, wspominał niekiedy z radością i satysfakcją, jak to zdemaskował niemieckiego treuhändera od młynów, Mittwocha. Żal, jaki straszny żal, że trzeba to wszystko zostawić...

Przyszło to jak olśnienie. Świętują. On zrobi im święto, urządzi fajerkę, jakiego już dawno nie oglądali. A ten młynarz będzie się mógł tylko obłazić, nie będzie rządził w jego, Józefa, młynie. Nikt z tych przeklętych Polaków nie będzie tu rządził. Nikt!

Wróciła mu pełna energia. Krzątał się zresztą i szybko, dbając o to, aby nie wywoływać zbytniego hałasu. Marcinek może powrócić tu każdej chwili. Nafty było dość w młynie. Trzeba umiejętnie podlewać, w wielu

punktach. Ogień, wystarczy, gdy się go wznieci w jednym czy dwóch miejscach, od strony rzeczki, niech się powoli rozbucha, aby, gdy się stanie widzialny od strony miasta, było już na wszystko za późno.

Mrok na zewnątrz gęstniał coraz to bardziej. Na dworze około młyna cicho wiał było, spokojnie. Zapałka rzucona na wielką plamę nafty w pomieszczeniu bez okien, druga w ciemnej komorze, trzecia przy samych turbinach; momentalnie buchnęły utyskiakrotnym odbłaskiem. Ledwie się zdążył wycofać. Teraz ostrożnie uchylał drzwi, dźwigając niewielki tobolek. Cicho. U Marcinka też ciemno i głucho. Bawi się. Jak i jego chałupa spłonie, dopiero będzie miał pyszną zabawę. Rocznicę PKWNU...

Od zewnątrz nie było nic widać, żadnego jeszcze odbłasku. Aż się zaniepokoił przez moment, może ogień zagaś, trzeba go ponownie rozpalać, ale właśnie przez ciszę mroku usłyszał od wewnątrz poszum płomieni. Pali się, wszystko w porządku... Starańnie zamykał drzwi, założył je jeszcze sztabą, klucz wyrzucił do wody, w miejsce, gdzie liny brały tak pięknie. Dopiero kocimi krokami, przyspieszając coraz to bardziej, pocwałował w kierunku lasu, gdzie czekał w ukryciu motor.

Jeszcze raz się obejrzał. Przez gęstwe drzew nie było nic widać. Nawet odbłasku. Tyle, że do poszumu wody dołączył się inny, narastający szum, jakby się zrywało wichrzysko.

Włączył bieg, ruszył leśną ścieżką, na szosę wyjedzie później, dopiero da gazu.

Jadąc uśmiechał się z mściwą satysfakcją. Tania im ujawnienie Mittwocha nie przyjdzie, mocno się poparzą w tym ogniu. To jego dar na święto lipcowe... Przelączył bieg. I satysfakcja zagasła. Coż z tego, że młyn spłonie? Odbudują, nowy postawią, może lepszy i większy od tego. Nic im on, Mittwoch, nie zrobi. Stę, nawet tysiąc takich Mittwochów. Twardy naród, Hitler go nie potrafił dobić, odradza się, z gruzów buduje od nowa, z zapalem, z pasją, z przejęciem... Jedno jeszcze utrudnienie, dodatkowy mały kamuszek...

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Uczestnicy VII Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego

Za dwa i pół miesiąca zjedzie do Warszawy 77 młodych pianistów z 29 krajów, nie licząc 7-osobowej ekipy polskiej. W sumie więc do konkursu staną 84 osoby — 33 kobiet i 46 mężczyzn.

ARGENTYNA — Martha Argerich, Raúl E. Sosa, Ana Maria Trenchi; AUSTRALIA — Frederike Gruenfeld, Robert Majek, Johanna Ondrejka; BRAZYLIA — Nelson Freire, Arturo Moreira Lima; BULGARIA — Nina Aladżemowa, Luba Dimowa, Atanas Kurtew, Dora Milano (uczestniczka VI Konkursu), Dzeim Petrova, Toszko Stojanowa, Ludmila Stojanowa; CHILE — Roberto Bravo Gonzalez; CZECHOSŁOWACJA — Frantisek Kuda, Miroslav Langer, Radomir Melumka, Jirzi Skovajsa; CYPR — Christodoulos Georgiades; FRANCJA — Nicole Afriat, Christian Bernard, Madeleine Demory, Monique Duphil (brała udział w V Konkursie), Evelyn Flauw, Suzanne Husson, Edmond Rosenfeld, Catherine Silie; GRECJA — Dora Bacopoulos; INDIA — Rumi Nanavati (uczestnik VI Konkursu); IRAN — Haleh Alp (uczestniczka VI Konkursu); JAMAJKA — Maxine Franklin; JAPONIA — Ikuko Endo, Yoshiya Iwamoto, Hiroko Nakamura; JUGOSŁAWIA — Pavica Gvozdic, Zora Mihailovic (najmłodsza uczestniczka Konkursu, ur. w 1947 r.); KOLUMBIA — Blanca Uribe; KOREA PŁD. — Geun Duk Koh; KUBA — Jorge Gomez Labrana; MEKSYK — Andres Acosta, Jorge Suarez; NRD — Almut Brauer, Hermann Wolf (uczestnicy VI Konkursu), Elfrun Gabriel, Marietta Wolk; NRF — Franz Friedrich Eichberger, Konrad Richter; PERU — Carlos Rivera-Aguilar; POLSKA — Elżbieta Głab, Maria Korecka, Kazimierz Morski (brał udział w VI Konkursie), Cezary Owerkowicz, Marta Sosńska, Wiesław Szlachta, Ewa Wolak; PORTUGALIA — Sergio Varela-Cid; SZWECJA — Tove Upstrom; TURCJA — Ani Gaser, Seta Tanyel; USA — Howard Aibel, Edward Auer, Robert F. Cockrell, Donne-Alexandre Feder, Deno Giannopoulos, Robert Harvey, Lois Carole Pachucki (polskiego pochodzenia), Rebecca Penney, Anthony Smetona, Michael Steinberg; WENEZUELA — Rosario Marciano, Ewa Maria Zuk (polskiego pochodzenia); WĘGRY — Pal Gerő, Klara Körmenyi, Judit Szenthelyi; WIELKA Brytania — Malcolm Binnis, Rosemary Thomas, Janice Williams (uczestniczka VI Konkursu); ZSR — Estera Jelinaite, Tamara Koloss, Wiktoria Postnikowa, Georgij Sirotka, Ewa Smirnowa. (PAP)

Eugeniusz Paukszt

Witryna „Iskier“

Poprzez Rydzynę historia ta bliska szczególnie jest Wielkopolsce. Rydzyna? Wciąż chyba Sufkowski. Oczywiście, w książce Mariana Brandysa „Oficer największych nadziei”. Autor podjął się tu trud skonfrontowania romanzy legendy związanej z postacią wybitnego dowódcy z wymową faktów wyciąganych z rzadkich źródeł. Czy się to Brandysowi udało? Tylko po części. Bo źródeł niezmierznie mało, a załadunek związanych z tą szlachetną postacią zbyt wiele. Brandys rozwiązuje jedno, bezwiednie nieomalże stwarza dalsze. Ale jedno jest pewne, że przybliżył nam Sufkowskiego, którego życie zaczęło się obok sfinkсів w Rydzynie, a zamknęło w Kairze, nie opodal piramid i... sfinkсів. Osobiwa kłama, jak symbol spina to bujne, choć krótkie życie.

A oto książka Mikołaja Cabana, pamiętnik o wymownym tytule „Powrót z rzeki Styks”. Na tle wielu innych wspomnień książki Cabana wyróżnia

się panoramiznością obrazu Lubelszczyzny w okresie okupacji. Istotne jest też rozciągnięcie wspomnień w chronologii, gdzieś od lat niemal dwudziestych aż po ostatnie dni wojny. Stosunki sanacyjne, wrzesień, obóz jeńieckie, praca u Niemców, ucieczki, konspiracja, aresztowania, Majdanek z opisem kapitalnej ucieczki kanalami, wreszcie działania partyzantki. W sumie, zwłaszcza, że zarazem działalność wojenna Cabana wiąże się z napiętą sytuacją narodowościową w obwodzie Chełmskim, pamiętnik ten, pisany dobrym literackim językiem, zaliczyć można do najciekawszych świadectw tamtego czasu. Polecałbym go zwłaszcza młodym czytelnikom.

Nieco inny charakter, już nie bezpośrednich wspomnień, ale literacko przetworzonego obrazu ma opowieść Zdzisława Wróblewskiego „Dokąd płyną rzeki”. Temat okupacyjny zdecydowanie góruje w książce, ale nie dlatego, by autor wysuwał go na pierwszy plan, ale dlatego, że w relacji przeżył dojrzałego chłopca czas wojny staje się czasem zrozumienia i przejrzenia. Niektóre partie książki, te, w których autor próbuje analizy psychologicznej, należą wręcz

do świetnych, ale i całość czyta się z zainteresowaniem, a wiele przypomnień, jakie wynikają z lektury, jest na pewno na czasie.

Z innych polskich nowości „Iskier” wyróżnić warto niewielką powieść Remigiusza Napiórkowskiego „Jutro odpoczniesz”. Autor porusza temat zdemokratyzowania — budowę wielkiej zapory, gdzie kulminacyjnym punktem staje się nagła górska powódź i raunek kierowców urządzeń ze swymi maszynami pośrodku rzeki. Ale ukazuje go inaczej. Jest w tym utworze i miejsce na ciekawą retrospekcję w życie bohaterów, jest i spory ładunek psychologiczny, jest wreszcie ciekawa kompozycja. Na pewno znajdzie też chętnych czytelników Roman Samsel, autor powieści „Odwrocenie stoła”, bardzo współczesnej w konfliktach, w umiejętnym ich podmalowaniu psychologicznym, interesującej także i poprzez środowiska, w jakim toczy się akcja, zarazem jednak przy tym wszystkim zostawiającej pewien niedosyt i rażącą niejako sztucznością stwarzanych sytuacji.

W ramach „Biblioteki Ślaniaczyka” otrzymaliśmy tomik Wiesława Brudzińskiego „Zmyslenia”, mieszający 400 aforyzmów, znanych po części ze

„Szpilek”. Lektura to dobra, jeśli dawkowana jest ostrożnie, ale nie przyjmowana hurlowo.

Dobrze się stało, iż wznowiona została jedna z najciekawszych pozycji pasjonującej nie tylko młodzieży serii „Neokolo świata”, — „Zielone piekło” Raymonda Maufrais, wyjątkowo poruszająca relacja młodego Francuza z jego podróży brazylijskiej, a dalej jego dziennik przedzierania się przez Gujanę, dziennik znaleziony na miejscu ostatniego biwaku. Nad daleką rzeką uwarła się nieć życia pełnego pasji i energii człowieka, dziennikarza, spadochroniarza, szalonego podróżnika...

„Ostatni z Atlantydów”, to wybór opowiadań fantastyczno-naukowych piątych radzieckich. Opowiadania są nierówne, od doskonałych po bardzo mierne. Niemniej każdy z entuzjastów fantastyki znajdzie tu rzecz interesującą dla siebie: od podróży po krańce Galaktyki do wypraw w bajkową przeszłość Atlantydów, ladu, o którym ciągle niewiele wiadomo, ale który od stuleci stanowi temat pasjonujący pisarzy.

Z książką na ty



PROPOZYCJE USPRAWNIEŃ SYSTEMU FINANSOWEGO PRZEMYSŁU

Prace nad doskonaleniem systemu planowania i zarządzania w gospodarce są bodźcem do zgłaszania usprawnień, które przyczyniłyby się do zwiększenia efektywności ekonomicznej przedsiębiorstw. Józef Trendola (wiceminister finansów) publikuje na łamach „Życia Gospodarczego” artykuł pt. „Jak usprawnić system finansowy przemysłu”.

Autor przedstawia propozycje zmian w systemie finansowym przedsiębiorstw zjednoczeń przemysłu kluczowego, zapowiadając w następnej części tych rozważań omówienie spraw wieloletnich, normatywów i roli zjednoczeń. Materiał to szczególnie interesujący dla działaczy gospodarczych, których redakcja „Życia Gospodarczego” zaprasza do wyrażania się na temat proponowanych zmian.

NIE CZUJĄ BÓLU...

To tytuł publikacji Antoniego Gutowskiego, który na łamach „Polityki” pisze o sposobach fałszowania danych w naszych fabrykach, czyli o tzw. brakorobstwie statystycznym. Opierając się na wnioskach z badań Najwyższej Izby Kontroli,

autor dochodzi do wniosku, że w rzeczywistości nikt lub prawie nikt dokładnie nie wie, jakie są rozmiary strat spowodowanych przez brakorobstwo. Z jednej strony dane statystyczne nie obrazują pełnych skutków wytwarzania braków, gdyż obejmują wyłącznie koszty braków ujawnionych tylko w procesie produkcji pomijając straty ujawniające się dopiero u użytkowników, a z drugiej — zakłady pracy w swoich sprawozdaniach po prostu ukrywają faktyczne dane o brakach.

„Można dojść do wniosku — pisze autor — że pewna część administracji gospodarczej żyła się z tym stanem rzeczy, jak człowiek, który skapił przed nieuleczalną chorobą. „Bujają? Wiemy, wiemy, coż robić...”. Właśnie — co?”

NASZE UNIwersYTETY

W „Nowych Drogach” zakończyła się dyskusja zatytułowana „W poszukiwaniu koncepcji współczesnego uniwersytetu”. Kilka innych czasopism, co odnotowaliśmy na tym miejscu, także zamieściło materiały na ten temat. Obecnie dyskusję o uniwersytecie rozpoczyna „Kultura”, zamieszczając artykuły Macieja Żurowskiego „Urządniczy i profesorowie” (m. in. o narzucaniu przez Ministerstwo pracowników naukowych zadań administracyjnych) oraz Janusza Głowackiego i Stanisława Trzaski „Człowiek kulturalny na rynku pracy”; autorzy sygnalizują m. in. fakt (przykłady z Uniwersytetu Warszawskiego), że studenci zwłaszcza wydziałów humanistycznych coraz częściej rozpoczynają studia na dwóch wydziałach, by w ten sposób uniknąć kłopotów związanych z wejściem na rynek pracy.

ANONIMY

Instytucja skarg i zażaleń jest w nas szeroko rozwinięta. Ludzie w pełni wykorzystują szansę, jaką dają im usługi zapewniające rozwój demokracji naszego życia. Wykorzystują, ale i nadużywają. Pisz na ten temat Halina Lipowczan na łamach „Życia Literackiego”. Pośród skarg dużo jest anonimów. Ustawodawstwo nasze przewiduje, iż instytucje skarg i zażaleń powinny traktować jednako listy jawne i anonimowe, co powoduje, że część autorów listów anonimowych podaje fakty zmyślane, nieprawdziwe, dyktowane chęcią zemsty na kimś, kto może być w ogóle niewinny. I fakt, iż obywatel wie, że wszystko co napisze, zostanie wzięte pod uwagę, decyduje nieraz o tym, iż pisze bezkarnie, co mu ślina na język przyniesie. Jeżeli zarzuły się nie potwierdza, to i tak jemu — autorowi listu nie się stanie. Za to instytucja przyjmująca skargi i zażalenia traci czas w takich przypadkach i niepotrzebnie obciąża swoich pracowników pracą.

Problem nie jest jednak łatwy, bo ma i drugą stronę.

„Niektóre doniesienia, wpływające do różnych instytucji w trybie skarg i zażaleń — pisze autorka — nie mają nic wspólnego z osobistą zemstą ani z bezmyślną złośliwością. I te właśnie listy zmieniły mój pierwotny pogląd co do bezsensowności i bezużyteczności anonimowej formy pisania. Istnieją anonimy, które nie mogą i nie powinny iść do kosza. Autorzy ich, podając konkretne dane o nadużyciach, tłumaczą się z tej zakamufłowanej formy pisania: jako powód z zasady podają obawę

przed represjami ze strony osób, których przestępstwa ujawniają. Cóż... nie można nie przyznać im racji.”

UPRAWNIŁE WĄTPIENIE...

Mikołaj Kozakiewicz zamieszcza w „Głosie Nauczycielskim” cykl rozważań na temat dyskusji młodzieży nad problemami światopoglądowymi. W bieżącym wydaniu w artykule „Uprawnione wątpliwości...” autor formułuje interesującą uwagę o dyskusji światopoglądowo-moralnej nie jest lekcją sprawną opinię i przekonania młodzieży — czytamy — lecz środkiem ich formowania. Zatrzasną się dusze młodzieży przed nami, zniknie wszelka możliwość oddziaływania wychowawczego, jeśli choć w jednym wypadku zostanie zdławiona lub wyciszona, wyszydzone lub ukarana szczera, choćby błędna i niedojrzała wypowiedź własna chłopca czy dziewczyny. Zapytano mnie na jednym ze spotkań autorskich z nauczycielami, jaki stopień miał postawić nauczyciel uczennicy, która co prawda poprawnie wyrecytowała wiadomości dotyczące zasad materializmu dialektycznego, ale jednocześnie powiedziała, że jako wierząca nie uważa ich dla siebie za całkiem prawdziwe. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że ocenę mogła uzyskać wyłącznie za wiedzę o materializmie, a nie za swój osobisty stosunek do materializmu. Nie wolno stawiać stopni za przekonania, ani pozytywne, ani negatywne. Wypowiedź tej uczennicy musiała być jedynie sygnałem dla wychowawcy do podjęcia z nią dyskusji filozoficznej (...). Chodzi jedynie o to, aby to uprawnione wątpliwości i dyskusja nie zamieniała się w upartą negację, ale stawała się zaczynem własnej myśli i refleksji nad sprawami wyższymi od „powszedniego chleba”. I to jest ogromna rola — kończy autor — jaka ma do spełnienia wszystkie nasze światopoglądowe dyskusje.”

LEKTOR